Sforski ks. Ja Pan...

JA PAN
NIEODMIENIAM SIĘ.

Malach. III. 6.

TAK MÓWI BÓG IZRAELA.

NAPISAŁ

Ks. Xawery Sforski,

Brat Mniejszy.

WARSZAWA.
W Drukarni Franciszka Czerwińskiego.
ulica Hortensya № 7.

1906.

JA PAN

NIEODMIENIAM SIĘ.

Malach. III, 6.

TAK MÓWI BÓG IZRAELA.

napisał

KSIĄDZ XAWERY SFORSKI,

Brat Mniejszy, Lektor św. Teologii.

WARSZAWA.
W Drukarni Franciszka Czerwińskiego,
ulica Hortensya № 7.

1906.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 31 Августа 1905 года.

APPROBATUR.
Wladislaviae d. 14 Iunii 1905 anno.

† Stanislaus Eppus.

pro Regente Cancellariae

Ks. Fr. Mirecki.

№ 1543.

ОДОБРЕНО.

Гор. Влоцлавекъ Іюня 1/14 д. 1905 г.

за Регенса Консисторіи

Кс. Фр. Мирецкій.

Секретарь

Кс. Ад. Овчарекъ.

✝

JA PAN,

NIEODMIENIAM SIĘ. *Malach. III., 6.*

Na wieki, Panie, słowo Twoje trwa na niebie. *Ps. LIII., 89.*

Przystąpię do was w sądzie, a będę świadkiem prędkim czarownikom, i cudzołożnikom, i krzywoprzysiężcom, którzy krzywdzą zapłatę najemnika, wdów i sierot, i ściskają cudzoziemca, a nie bali się mnie, mówi Pan zastępów. *Malach. III, 5.*

Po ucichłych stękaniach wśród nieszczęść minio-[nych
I po długich w niewoli latach przepędzonych,
W Izraelskim narodzie nastał czas pokoju:
Zamilkł głos trąb, co wzywał walecznych do boju:
Starzec siwy, młodzieniec i dziewica strojna
Nietrwożą się wołaniem zewsząd: „Biada! Wojna!"
Na murach i na dachach niewidać patrzących,
Zkąd zdążają gromady zagładę niosących;
Turkot wozów niegłuszy śpiewu weselnego
I niebudzi w winnicy cieniach drzymiącego;
Z gór niewidać schodzącej zbrojnej stalą jazdy,
Z której ranić, rozbijać, śmierć siać gotów każdy.
Ojciec z dziatwą spokojny do jadła zasiada,
Chleb mu z ręki dzielącej z trwogi niewypada;
Matka z ssaczkiem się swoim w podziemiach niekryje,
Zbir w oczach jej o ścianę już go nierozbije;

Niekona jej na ręku synalek zgłodniały,
Że napróżno usteczka: „Matko! jeść!“ wołały;
Niedrą szat swych na sobie z boleści Kapłany,
Widząc w wnętrzu świątyni zuchwałe pogany;
Naczyń świętych niesłychać na wozach chrzęszczą-
[cych,
Po złej drodze do ziemi pogańskiej dążących;
Wór pokutny i popiół nikogo niekryje,
Pies wśród trupów ulicznych żałośnie niewyje.
Miasto święte pokojem bezpieczne oddycha,
Wypogadza je postać Oniasza cicha.
Gdy się po niem wśród ludu poważnie przechodzi:
Witają go z radością i starzy i młodzi.
W Jeruzalem dobrze się w owe czasy działo;
Bo i Panu przebywać w niem się podobało.
Prawa z wszelką ścisłością były zachowane,
Oniasza pobożnem słowem wykładane.
I lud Arcykapłana nauką przejęty,
W nienawiści miał wszelkie złego brudy, męty;
Zdrowe jagnię i chętnie znosił na ofiarę,
Pełną mąki, oliwy dawał także miarę;
Zachowywał z wdzięcznością święta i szabbaty
I nienosił utkanej z wełny i lnu szaty;
Sąsiadowi się sąsiad na rolę niewdzierał,
Ani z pola zżętego snopa niezabierał;
Wdów i sierot z majątków ich niewydziedziczał,
Należność im z nadmiarem, z współczuciem wyliczał;
Głodny od drzwi odchodził chlebem nakarmiony,
Przychodzień i podróżny uprzejmie goszczony;
Miarę, wagę rzetelna ręka odmierzała;
Bo się oka Bożego bacznego lękała:
To nie Egipt krzywdzący i wety krzywd jego;
Tu Izrael swobodny wśród narodu swego, —

Obcemu czy sprzedaje, czy odeń kupuje,
Że z swą krzywdą niemierzy, już niepokutuje.
Krzywdy sam mu nieczyni, choć i sobie nieda;
Za ile brat kupuje, za tyleż mu sprzeda,
Aby obcy nie bluźnił Imienia Bożego,
Mówiąc: „Zły jest Izrael, zły jest i Bóg jego.“
I pożycza bez lichwy, gdy sam niema straty,
Ni najemnik nieczeka należnej zapłaty.
W rozmyślaniach szabbatnich o Bożym zakonie
Czyste od krzywd, łez i krwi uczy się mieć dłonie.
Gdy do Boga je wzniesie, już się niezawstydzi
Na myśl, że się z rąk takich i ofiarą brzydzi.
Z czynów jego Zakonu świętość wyglądała
I powagą swą obcych nawet budowała.
Znać było, że to naród od Boga wybrany,
Aby zeń się narodom zrodził *Pożądany*
I połączył je z sobą węzłami miłości,
Rozdzielone krętarstwem ducha przewrotności.
Gdy się obcy tu zjawiał w jakiejsiś potrzebie,
Widząc, co tu spotykał, widział niższym siebie
I uszanowanie dlań z jego bram wynosił,
A nawet i cnót jego zacność wśród swych głosił.
Wśród świątyni jaśniało serce Izraela,
Pełno ozdób i tylko brakło *Zbawiciela*,
By jej godność podwyższył Swoją obecnością,
I ogłosił Swe prawa, tchnące łagodnością.
Złoto, srebro, gdzie spojrzeć, oko spotykało, —
Z Izraelek szyj, uszów tutaj uciekało;
Z ubogiej czy bogatej uchodziło skrzyni
Na przystroje czcigodnej, kochanej świątyni.
Obcy nawet królowie i obcy książęta, —
Zwykli ludy w haniebne kuć niewoli pęta; —
W jaknajwiększej poważne to miejsce czci mieli,
Jakby sami do ludu jego należeli.

Do świątyni tak hojnie dary przysyłali,
Iż najwięcej do blasku jej się przyczyniali.
Król Azyi, Seleukus, aż tak był wspaniały,
Iż z dochodów, które mu do skarbu wpływały,
Czynił wszelkie wydatki sam wystarczające,
Na posługi do świętych ofiar należące.
Lecz jak w żadnym narodzie niebraknie niecnoty
Co nań klęski sprowadza przez niecne roboty, —
Gotów zawsze go zgubić dla swoich korzyści, —
Na pastwę go wydając wrogów nienawiści;
Tak i w Jeruzalem się znalazł potwór taki,
Co w nim cnoty budziły ku sobie niesmaki.
Byłto Symon, świątyni nawet przełożony,
Lecz wróg na jej i ludu dobro zaczajony.
Z Beniamina on się rodził pokolenia:
Często w mieście cóś złego miał chęć uczynienia;
Lecz najwyższy mu Kapłan, Oniasz, przeszkadzał,—
Co przedsięwziął nikczemnie, wnet temu zaradzał.—
Gdy zaś swem go krętarstwem pokonać niezdołał,
W inny sposób haniebny nieszczęście wywołał.
Był wódz Celezyryi, oraz Fenicyi,
Apolloniusz, a syn Tarsea z Grecyi:
Do niegoto udał się Symon z kłamstw zasobem. —
Zdolnych miasto uczynić braci swoich grobem, —
I doniósł mu, iż skarbiec Jeruzalem miasta
Wszelki domysł wielością swych bogactw przerasta,
Że pieniądze, na ofiar skup nieprzeznaczone,
W obfitości niezmiernej są nagromadzone
I że to jest możebnem i się by udało,
Iż pod królaby władzę wszystko się dostało.
I zaszkodzić udało się wichrzycielowi:
Bo gdy Apolloniusz doniósł to królowi,
Śle król Heliodora, urzędnika swego,
Aby z miejsca pieniądze sprowadził świętego.

Heliodor natychmiast w drogę się wyprawia;
Lecz na oko tak pochód jego się przedstawia,
Jakby tylko do miast miał wejść Celezyryi,
A następnie udać się do miast Fenicyi.
Gdy wszedł do Jeruzalem, tak się urządziwszy,
Uprzejmie go Oniasz przyjął najuczciwszy.
Heliodor o swoim myśląc tylko celu,
Oznajmia mu otwarcie po chwilach niewielu,
Jaką król o pieniądzach wiadomość osiągnął
I z jakim on rozkazem z wojskiem tu przyciągnął.
„Prawdażto jest?“ zapytał. „Bo mam polecenie
Przewieźć wszystko do króla, co tu ma schronienie.
Odpowiada Oniasz tak na zapytanie:
„Z tych rzeczy są niektóre dane na schowanie;
Na nieletnich i wdowy inne przeznaczone,
By od głodu i nędzy były ochronione.
Oprócz tych są Hirkana Tobiasza jeszcze, —
Męża poważanego bardzo w całem mieście.
Wśród tych, o których Symon zrobił doniesienie,
I te, co są Hirkana, mają pomieszczenie.
Wszystkiego zaś jest w skarbie, nie jak niosą wieście,
Lecz czterysta talentów w srebrze, w złocie dwieście.
A ci, którzy takiemu miejscu i świątyni, —
Której cały świętości świat pokłony czyni, —
Z taką mienie ufnością swoje powierzyli,
Niepodobna, ażeby pokrzywdzeni byli.“
Lecz on myśląc o króla tylko rozkazaniu,
I wszystkiego, co zastał, w skarbnicy, zabraniu,
Powiedział to, co myślał, i wszedł w dzień obrany
Wydać rozkaz swej służbie, z którą był wysłany.
Niemały strach ztąd powstał wśród miasta całego,
Jakby każdy przeczuwał cóś nadzwyczajnego:
Na twarze się przed Ołtarz rzucali Kapłani,
Kapłańskiemi szatami poprzyodziewani, —

Tego z nieba wzywając, którego moc, siła
Sama tylko ocalić składy zdolna była, —
Błagając Go, aby się niemi opiekował
I tym, co je składali, w całości zachował.
Przypomnieli, jakie dał o nich przykazanie,
A bezbożnik zuchwały śmie się rzucać na nie.
Kto zaś na najwyższego spojrzał twarz Kapłana,
Sercu jego bolesna dolegała rana;
Bo jej cera zmieniona duszę wyjawiała,
Jaka boleść wewnątrz niej wielka przebywała.
Jakimś smutkiem wyglądał jakoby oblany,
Jakąś zgrozą straszliwą cały przyodziany
Tak, że kto nań spoglądał, jawnem mu się stało,
Co się w sercu wielkiego tego męża działo.
Niektórzy z swych gromadnie domów wychodzili
I zbiorowo do Boga błagania wznosili,
Skarżąc się, że to miejsce, co winno być czczone,
Na zniewagę i wzgardę ma być wystawione.
Niewiasty pierś worami z włosienia okryły
Po miasta się ulicach smutne gromadziły,
I panny swe zamknięcia rojnie opuszczały
I do Oniasza się z współczuciem zbiegały;
Inne zaś przystawały przy murach strwożone,
Inne z okien patrzały zaniepokojone.
A wszystkie swe ku niebu ręce powznosiły
I w tym stanie tak groźnym o pomoc prosiły.
Bo pospólstwo, zmięszane z rozmaitym stanem,
Z wielkim swym, jak w skonaniu, strapionym Ka-
[płanem
Oczekiwaniem smutnem było przygnębione,
Jakby już być niemogło niczem pocieszone.
I ci, którzy nad skarbem przełożeni byli,
Do Boga Wszechmocnego prośby zanosili,

Aby to, co ich pieczy było powierzane,
Właścicielom w całości było zachowane.
Heliodor zaś, swemi zbrojny żołnierzami,
To, co raz postanowił uczynić z składami,
Zabrał się wykonywać w miejscu świętem śmiało,
Jakby na nie niezważać, niczem mu się zdało.
Lecz Boga wszechmocnego duch się tak objawił,
Iż prawie Swą obecność na oczy im stawił:
Wszyscy, co go posłuchać w czem się ośmielili,
Mocy Bożej na sobie jawnej doświadczyli;
Popadali na ziemię w jakiemś rozprzężeniu
I z zuchwałych w wylękłych nagle się zmienieniu.
Okazał się im bowiem tuż koń jakiś rączy,
Straszliwego na sobie jeźdzca unoszący,
Najbogatszą odzieżą przyozdobionego, —
Zdolną wprawić w lęk, przestrach choć najzuchwal-
[szego, —
W złotej zbroi zdał się być, jakby ku bojowi,
Gdy koń w pędzie zgniótł nogi Heliodorowi.
Zjawiło się jeszcze dwóch współcześnie młodzieńców,
Ozdobionych w przymioty niebios oblubieńców,
Całych w blasku powagi i w świetnej odzieży:
Obstępują natychmiast dowódzcę grabieży
I z obojga stron biją, uderzeń nielicząc,
Bez przestanków, spocznienia, ćwicząc go i ćwicząc.
Heliodor na ziemię nagle cały pada
I ciemność go zgęszczona dokoła obsiada.
W takim stanie zbitego na nosze włożyli
I ze skarbca, który chciał obrać, wyrzucili.
A ten, który z tak licznym zastępem służących
I przyboczną straż przy nim zawsze trzymających,
Odważył się przestąpić tego skarbca progi,
Gdy był zeń wynoszony po zdjęciu z podłogi;

Niedoświadczył pomocy najmniejszej z ich strony,
Mających wzrok na taką moc Bożą zwrócony.
Gdy on niemy w niemocy leżał do powstania
I bez żadnej nadziei zdrowia odzyskania;
Lud, przejęty wdzięcznością, Boga błogosławił,
Że ramieniem Swem mocnem tak Swe miejsce wsławił,
I świątynia przed chwilą tak lekceważona, —
Takim strachem i trwogą, płaczem napełniona,
Gdy Boga wszechmocnego moc się okazała,
Zaraz cała radością, weselem jaśniała.
Heliodor miał swoich niektórych przyjaciół,
Świadków rózgi, którą go Bóg tak jawnie zaciął;
Proszą więc Oniasza, aby się zań wstawił,
By mu życie darował i od śmierci zbawił,
Która już się zbliżała, już ostatnie tchnienie
Miało prędko oznajmić życia zakończenie.
Po namyśle najwyższy Kapłan się zmiarkował
I ofiary zbawiennej złożyć nieżałował,
Aby czasem król żydów nie miał w podejrzeniu,
Że to ręka ich była w całem tem zdarzeniu.
Kiedy on się zań modli, młodzieńcy ciżsami
I w odzieży tejsamej, z temiż ozdobami
Przy Heliodorze się zjawili i stają
I poważnie do niego tak się odzywają:
„Dzięki Oniaszowi składaj Kapłanowi,
Dlań Pan życie darował tobie zuchwalcowi;
Ty zaś za swoje winy wyćwiczon od Niego
Wielkość wszystkim ogłaszaj i potęgę Jego.“
I natychmiast, zaledwie słów tych dokończyli,
Znikli z oczu i już się więcej niezjawili.
Heliodor zaś Bogu ofiarę złożywszy,
I obietnic za życie wielkich naczyniwszy,
Złożył także podziękę i Oniaszowi,
Po czem z wojskiem wyruszył ku swemu królowi.

A dzieła wszystkim Boga ogłaszał wielkiego,
Które się odbywały przed oczami jego.
Gdy zaś król spytał go się, kogoby powtórnie
Wysłać do Jeruzalem,—trwając w swem upornie;—
Odpowiedział: „Jeżeli masz nieprzyjaciela,
Lub skrytego królestwa zdrajcę, wichrzyciela;
To go poślij, a będziesz miał zbiczowanego,
Byle tylkoby żywy wyszedł z miejsca tego.
Bo w tem miejscu jest jakaś moc Boża prawdziwie,
Co się może za najście dać uczuć dotkliwie.
Sam bowiem Ten, co w niebie ma Swoje mieszkanie,
Odwiedza je i wspiera, i Sam walczy za nie;
A kto śmiały wejść się tam czynić źle odważa,
Obije go i na śmierć nawet się naraża.“

* * *

Izraelu! a dziś co? Pusto w twej bóżnicy!
Nieodzywa się Jego—głos już z tej mównicy,
Która cię już do Niego wzywać zapomniała;
Bo i sama mów Jego słyszeć zaprzestała. —
Mojżesz, Dawid, Jeremi do skrzyń przemawiają;
Bo twe uszy o Misznę, Gemarę wołają,
A w nich nie Ten Bóg Stary już się słyszeć daje;
Lecz ten, co z Nim do walki razem z tobą staje.
Abrahama, Mojżesza Boga milczy mowa,
Na sąd straszny na ciebie—odstępcę się chowa.
Próżno w skrzyniach ją więzisz, dajesz pleśni [zjadać;
Będzie ona umiała do ciebie zagadać,
Kiedy przed Tym się stawisz, kogoś dziś porzucił,
I niesłuchał, gdy wołał, abyś się nawrócił.
Do Talmudu Go wzywasz, aby się zeń uczył;
A skądżeśto mądrością taką się utuczył,

Że Ten, który założył świat bez twojej rady,
Do twych ksiąg na tajemnic schodzić ma wywiady?
Czy ten twój bóg obecny tak nad Nim góruje,
Że Nim w świata rządzeniu swą radą kieruje?
Któryż stworzył którego.—Stary? czy twój nowy?
Który w głowę którego lał mądrość z swej głowy?
Gzdzie był ten twój przez ten czas, kiedy księżyc,
[słońce
Przyświecały tej ziemi całe lat tysiące?
Czemu się ci tak późno niewiedzieć skąd zjawił
I czem się też, znudzony bezczynnością, bawił?
Czem zajmował, gdy Stary byt wszystkiemu nadał,
Fundamenta tej ziemi tak mocne zakładał?
Gdzie był, gdy ją rozmierzał i o miarach radził
I nad grzbietem liniją całym jej prowadził?
Nad czem takiem, tak stałem, mieścił jej podstawy,
Że o jej się zachwianie nikt nie ma obawy?
Kto na węgeł kamień Mu wprzód pod nią podłożył?
Wież on o tem? Widziałże, gdy go skądś przewoził?
Gdy Go gwiazdy poranne wespół wychwalały
I synowie Mu Bozi wszyscy w głos śpiewali;
Gdzież się wtenczas ten wasz bóg, jeśli był, ukrywał?
Gdzie wykrzykom się tej czci wdzięcznym przysłu-
[chywał?
Wież on, kto zamknął morze, gdy się wyrywało,—
Jak z żywota wychodząc, mając miejsca mało?
Gdzie był, gdy je okrywał, jak płaszczem, obłokiem
I, jak dziecko w pieluchy, spowił ciemnym mrokiem,
Wyznaczył mu granice, wzmocnił je zaporą,
Jakby drzwiami zamknąwszy piaskiem, albo górą
I powiedział: „Aż dotąd, aż do tej zagrody,
A nie dalej dojdą twe rozigrane wody
I tu twoje rozbijesz powzdymane wały,
By do swego łożyska śpiesznie powracały“?

Czyżto on, przed świtem dnia powstawszy, mu
[kazał?
By się ziemi z wśród gęstych ciemności ukazał
I jutrzence wyznaczył miejsce odpowiednie,
By rumiana złociła mroczyste przedednie?
Onżeto ziemi krańce objął, trzęsąc niemi,
By z niej wytrząsł bezbożnych dłońmi karcącemi?
Wszedłże w morza głębiny i je rozpatrywał,
Albo po dnie przepaści przechadzki odbywał?
Znaż on drogę, po której światło się przechadza,
Albo miejsce, gdzie ciemność zwykle się osadza,
By każde z nich do granic doprowadził swoich,
Poznał ścieżki ich domów i sam chodził po nich?
Wiedziałże on, niż nastał, że kiedyś ma nastać,
Lub jak wiele istnienia dni ma mu przyrastać?
Byłże on w składach śniegu? Widział gradu
[składy,
Które nasz Bóg zgotował dla wroga zagłady,
Gdy nadejdzie dzień walki i wojny w swym czasie,
Kiedy zbrojny zuchwalstwem w bój z Nim nędzny
[wda się?
Znaż on drogę, przez którą światło się rozprasza
I przegląda zwierza gąszcz i ludzkie poddasza?
Wie, jak ciepło obdziela sobą okrąg ziemi,
Mięszając się z lodami, zimnem wiejącemi?
Czy on najgwałtowniejszy bieg deszczowi nadał,
Aby wpośród obszarów samotnych puszcz padał, —
Gdzie niespotka śladu stóp przechodnich człowieka,
Ni z śmiertelnych nic, co tam z życiem swem
[ucieka?
On bezdroża zlał puste i osamotnione,
By ustroił je w zioła i trawy zielone?
On przeznaczył grzmotowi drogę huczącemu,
By pogroził nieprawą drogą chodzącemu?

Wież, kto ojcem jest deszczu, kto rosę rozradzą
I po kropli na listkach lilij, róż obsadza?
Lub kto rodzi i z nieba śron i sadż rozsiewa
I, jak kwiatem wiosennym, zdobi niemi drzewa?
Albo z łona czyjego lód się wydobywa
I obliczem młodzieńczem w oczach połyskiwa?
Czy on czyni, iż wody, jak kamień, twardnieją,
I powierzchnie przepaści mórz lodowacieją?
Podejmież się Plejady—gwiazdy złączyć lśniące,
Lub Arktura rozproszyć koło się kręcące?
Czy Jutrzenkę w swym czasie on ranną wywodzi,
A wieczorna z jegoż rąk synom ludzkim wschodzi?
Znaż on szyki na niebie pomiędzy gwiazdami
I na ziemi je wskaże wszystkie między wami?
Czy wykrzyknie wpośród mgły, a zmieni się w wodę
I nagle go obleje i całą przyrodę?
Wyśleż on błyskawice, a migną po niebie
I rzekną mu, wróciwszy: „Wracamy do ciebie“?
Czy we wnętrzu człowieka on mądrość obsadza,
Lub, by wiedział kur czas piań, on mu w tem po-
[radza?
Wyjaśniż on niebieskich ciał bieg w ładzie stały,
Lub zburzy ład, by sobie w biegu przeszkadzały?
Czy wie, kiedy proch zaczął ziemię zasypywać,
W bryły zlepiać i z pod wód na wierzch się do-
[bywać?
Czy pomaga on lwicy łowić łupy żywe,
By nakarmić szczeniąt jej głodnych dusze chciwe,
Kiedy w grotach ciemnych skał drzymkę odbywają
I na łup się w jaskiniach nieostróżny czają?
Czy krukowi on jadło podać na czas zdoła,
Gdy do Boga gromadka jego piskląt woła,
Popłakując, że jadła zgłodniałe nie mają
W porze, w której zwykle go szczęśliwe dostają?

Dla kóz skalnych on wśród skał nasiał pożywienia?
On prowadzi w pragnieniu do źródła jelenia?
On nauczył je wietrzyć z dalekiej przestrzeni
I unikać uwięzi wśród gęstej zieleni?
Kto go uczył bez łani bujać na swobodzie?
Kto go widział obok niej skaczącym w pochodzie?
Rychło się z nią rozłącza; a ledwie rozłączy,
Dąży zaraz na paszę zwinny, lekki, rączy
I już każdy z jej synów, gdzie chcą, tam bujają
I do boku jej odtąd więcej nie wracają.
Czyż ten bóg wasz takim ich obdarzył przymiotem?
Wszak one go już miały, gdv on nastał potem.
Onże wolność osłowi zapewnił polnemu?
On na nogi pęt ciasnych nie nałożył jemu?
On mieszkańcem uczynił go odosobnionym,
Zgotował mu leżysko w miejscu zabłoconem
Tak, iż niedba o ludnych miast, wsi zbiegowiska,
Upatrując po górach dla siebie pastwiska,
I zieleni wszelakiej tylko poszukuje:
A wie, która go żywi, a która go truje:
Wyganiacza on głosu do pracy niesłyszy,
Gdy zajada swój przysmak wśród odludnej ciszy.
Czy pospieszy do niego nosorożec służyć,
Albo zechce przy jego żłobie czasu użyć?
Daż mu wziąć się na powróz, zmusić do orania,
Albo do skib w dolinach za nim rozbijania?
A czy aż tak zaufa wielkiej jego mocy,
Że na niego zda cały ciężar swój roboczy
I nasienie mu wsiane swą pracą pomnoży,
Gdy dojrzeje na polu, na gumno pozwozi?
Czy on pióra, podobne czapli i orłowi,
Nadał ociężałemu na pomoc strusiowi?
Kiedy jaja swe w piasku na rozpłód zagrzebie,
Czy wygrzaniem ich zajmie czas potrzebny siebie?

On niemyśli, iż nogą mogą być zdeptane,
Lub od zwierząt błądzących wśród pól pozgniatane;
Ku dzieciom się ma twardo, jak obcym, nieswoim,
Choć okryte podobnym do jego przystrojem;
Jest lękliwym, choć nie ma lękania powodu, —
Od północy, południa, wschodu i zachodu:
Bo go Bóg nasz prawdziwy pozbawił mądrości,
Ni dał sił swych poznania, wyrozumiałości, —
Napracował się próżno, kryjąc jaja w ziemi,
Mogąc wszelką ich napaść spłoszyć siłmi swemi.
Gdy się zdarzy uciekać, skrzydłami powiewa
I z konia się i jeźdzca pogoni naśmiewa.
A możeto ten wasz bóg moc w koniu obsadza,
Albo w wnętrze gardzieli rżenie mu wprowadza?
Czy pierzchnie, jak szarańcza, słysząc chrzęst łań-
[cucha?
Nozdrzy jego chwałą strach, kiedy niemi dmucha.
Ryje ziemię kopytem, hardo podskakuje,
Przeciw zbrojnym szeregom rączo występuje.
Gardzi strachem, ani też cofnie się przed mieczem,
Tam wprost pędzi, gdzie jeździec pośpiesza z od-
[sieczem.
Nad nim sajdak, pełen strzał, chrzęści i szeleści,
Włócznia, tarcza połyskiem pogrom wrogom wieści.
Wrzący zgrzyta, źre ziemię, na trwogę niezważa,
Którą trąby bojowej wrzask chrapliwy wraża.
Gdy ją zdala posłyszy, rży rozradowany,
Zwietrza wojnę zdaleka, rozróżnia, wsłuchany,
Głośne wodzów pobudki, żołnierzy krzyk, wycie,
Zapachy krwi, — zwiastuny straty wielu życia.
Czyto jego mądrością jastrząb się opierza,
I ku wiatrom z południa skrzydła swe rozszerza?
Na jego się rozkazy orzeł w górę wzbija,
Mało dbając, czy jego lotowi wiatr sprzyja,

Lub swe gniazdo zakłada w miejscach niedostępnych,
Chociaż zdala dla oczu ciekawych, ponętnych?
Na opokach samotnych tylko zamieszkuje
I wśród cienia wikliny gęstej przesiaduje
I na skałach dla ludzkiej nieprzystępnych nogi,
Z których rzuca postrachy w skrzydlatych ród mnogi;
Z ich wierzchołków dla siebie żeru upatruje, —
A zdaleka go dojrzy i wnet wyłapuje.
Złapanego umie krew dziatwa jego lizać
I wie, że ma połykać kąski, nie ogryzać.
Gdziebykolwiek trup poległ, on go wnet poczuje,
I zaraz się tam zjawia i przy nim ucztuje.
Waszżeto ten bóg nowy to wszystko postwarzał
I naturą tak różną każde poobdarzał?
Izraelu! gdzieś zaszedł? zajrzyj w księgi stare?
Czyś w takiego ty Boga nosił w piersiach wiarę?
Z Abrahamem, Mojżeszem czy taki rozmawiał?
Taki dzieje przyszłości skryte im objawiał?
Czy taki się zlitował nad tobą w ucisku,
Kiedyś ty łzy rozlewał po Egiptu rżysku,
Gdy ci z gliny i słomy, której ci niedano,
Robić cegłę pod miarą i liczbą kazano, —
A kijami grzbiety twe bito spracowane,
Za to, co być niemogło przez cię wykonane?
Nie! to Ten Bóg nasz — stary — tak w Sobie się
[wzruszył,
By twe bóle złagodził, łzy twoje osuszył:
Gdyś ty łzami polewał pola i zagrody,
On ich studzien, rzek, źródeł w krew przemieniał
[wody;
I gdy usta spragnione: „Pić! pić! pić!“ wołały,
Krew, jak z trupa wysięki, wszędzie spotykały.
Nie On żeto puścić cię na wolność nakazał
I za opór karami srogiemi odgrażał

I za każdy Faraon okrutny z swym ludem
Uczuwał się dręczony coraz nowym cudem?
Z rzek do mieszkań zastępy żab całe ruszyły
I po stołach, łożach się, misach rozgościły,
By natręctwo ich zmogło upór zaślepiony,
Na to najście niemogąc wynaleźć obrony.
Jadowita wiedziała mucha, jak ma kąsać
I zmuszała, wśród bólów, najcierpliwszych pląsać;
Mości jego królewskiej też nieopuściła,
Bo wysłana do niego od Wyższego była.
Po tych klęskach, za słowo zuchwale złamane,
Widział Egipt zdziwiony bydło wyzdychane:
Drogi, łąki, obory oczami błyskały,
Które na much kąsanie mrugać nie umiały.
Wół niepowstał, by orać, krowa dawać mleka,
Owca rodzić jagnięta na pokarm człowieka.
W ziemi Gessen, gdzieś mieszkał, każda zdrowa
[sztuka,
Jagnię skacze po górach, krowa wśród traw muka
I ujrzeli w tym cudzie rękę Wszechmocnego;
Bo i im chciał ojcostwa znak okazać Swego, —
Jakby mówił: „Ja karzę; lecz tążsamą rękę
Mam na uścisk gotową, co zadaje mękę:
Ślepi byli; w ślepocie niechciał ich zostawić,
Miłosiernie więc zdążał z niemi się rozprawić.
Za tą karą, tak mądrą, nastąpiła inna;
Bo się po niej zjawiła niesłowności wina.
Myślał może z swym królem lud krótkowidzący,
Iż wyczerpał już Swą moc wszystką Wszechmogący;
Niechciano cię więc puścić, byś znów stawiał domy,
Niedawszy ci do cegły wyrabiania słomy.
A więc grzmot, grad, deszcz, ogień z wodą pomię-
[szany, —
Lotem, migiem błyskawic razwraz przeplatany,

Bydło z ludźmi, po polach przez nich pilnowane,
Jak kamieńmi, bryłami gradu zabijane;
Drzew gałęzie łamane, trawy, zboża zbite;
Po czem zdala zleciały wysłańce niesyte —
Całe chmury szarańczy, która dojadała
Resztę z drzew, pól, łąk, co się po gradzie została
Zaślepionym spadł dowód, że jeszcze toż ramię
Wystarczyło, by skarcić język, który kłamie:
A gdy jeszcze zamało na tych karach było,
Nową moc Swą w straszliwy sposób objawiło:
Oto! gęste ciemności Egipt zaskoczyły!
I każdego, jak jeńca w sobie uwięziły
Tak, iż każdy, jak zbrodniarz w ucieczce ujęty,
Czuł się niemi dokoła tam, gdzie był, zamknięty;
Niemógł widzieć brat brata, ni się z miejsca ruszyć,
Ni krzemienia, by ogień z siebie wydał, zmusić;
Wzniósł ku gwiazdom wzrok trwożny, światła nie
[dostrzegał,
Napróżno nim po nieba przestrzeniach przebiegał.
Trzy dni trwało tak srogie, pełne trwóg więzienie:
A sroższem je czyniło nieprawe sumienie,
Co mu panowania się chciało nad słabszemi
I pastwienia się jeszcze wciąż nad bezbronnemi.
Przeraźliwe się widma w umyśle stawiały;
A gdy jedne niknęły, drugie nastawały.
Próżne były wysiłki, by uciec przed niemi,
Gdy strach i wstręt budziły postaciami swemi, —
W stan wprawiając ciągłego czegoś się lękania
I sroższych widm nad te się jeszcze spodziewania.
A te wróżby, — porody własnej lękliwości, —
Sprawdzały się, zwiększając stan niespokojności,
Gdy osoby ponure, jakby szydzić chciały,
Oko w oko na siebie patrzeć ich zmuszały, —

Zjawiając z szybkością, nagle, niespodzianie,
Z miną groźną, jakoby na ich ukaranie:
Większą była ta kara, niż kara zesłana,
Którą myśl ich rodziła strachami wstrząsana,
By nieprawość niejako sama się karała,
Przez własne swe domysły, które wytwarzała.
Oto! słychać odgłosy z jaskiń skał ponure,
Jakby wichry przed sobą gnały z gwizdem chmurę,
Poświst wężów, przeloty zwierząt, skowyczenie:
„Co to? Komu to grozi?“ pytało sumienie.
I każdy się wciąż lękał lub użgnięcia gadu,
Albo zwierząt żarłocznych na siebie napadu:
A tak miarki której Bóg niechciał Sam domierzyć,
Domierzenie dość było im samym powierzyć.
Bo ani gad, ani zwierz nie do nich zmieszały;
Tylko własne lękania tak ich udręczały.
W ziemi Gessen [1]) dzień po dniu pojawiał się zwykły,
O poranku, ciemności rzedniały i nikły,
A Izrael, przy słońcu, które mu świeciło,
Boże ramię podziwiał, co zań tak walczyło.
Widział bowiem zetknięte wraz dwie przeciwności,—
Światło dzienne i przy niem najgęstsze ciemności,
Które, chociaż się z światłem tak blizko stykały,
W świetle jednak będących widzieć przeszkadzały:
Wrzaskiem tylko o karach znać im swych dawali
Ci, co wśród nich zamknięci, onych doświadczali.
Izraelu! co przodków twych widziały oczy,
To na ziemię już może nigdy nie powróci;
Ale będzie świadczyło, jak to ramię Boże
Umie złamać trwające serca w swem uporze,
Lecz Faraon, ślepotą serca kierowany,
Jeszcze walczyć z potężnym chciał Panem nad pany:

[1]) Gdzie Izraelici mieszkali.

Ledwie kara minęła, wnet w nim upór nowy,
Uzbraja go, do tego, co przyrzekł, odmowy,
I zabrania powrotu nawet Mojżeszowi,
Pogróżkami go strasząc, jeśli go ponowi.
Zagradzając zbawiennej przestrodze tem drogę,
Jakie Boża dłoń kary ma jeszcze dlań srogie.
I nie Mojżesz, lecz Anioł śmierci mu się zjawił;
Ale smutny pobytu swego ślad zostawił:
Bo Faraon, co strzegł się Posłańca Bożego,
Musiał za to oglądać śmierć pierworodnego.
I z Egiptu całego schodzą się nowiny,
Iż padają, jak muchy, pierworodne syny,
Od wielkiego, sytego wszelkich dóbr bogacza,
Do ubogiej co w służbie żarnami obraca
I od tłustej, wypasłej wśród traw bujnych krowy,
Do owieczki, której zdechł synek kilkodniowy....
Słychać: płacz, ryk, beczenie,—w domu i w oborze,
I po miedzach, dolinach, pagórkach, ugorze,
„Co się dzieje"? pytano gdy się o północy
Pierworodnych na zawsze zamykały oczy
I wrzaski znać dawały, gdzie Anioł zabija,
A który dom, oborę przyjażnie omija.
Bo gdzie mieszkał Izrael, ni człowiek nie krzyknął,
Pies nie zawył, ni krowa, ani wół nie ryknął.
Poznał teraz Faraon, wstrząśniony tym cudem,
Iż Bóg stale za Swym się upomina ludem
I niespocznie aż zmusi by był wypuszczony,—
A ma dosyć zmuszania środków w Swojej dłoni.
Nie czekał już Faraon i Egipcyanie,
Aż na grzbiet ich nowy bicz spadnie niespodzianie:
Których puścić nie chcieli; teraz przynaglali,
By się sami i mienie z sobą zabierali.
A gdy im się zdawało, iż się opóźniają;
„Poginiemy! niestety! Spieszcie się!" wołają.

Podniósł głowę, i, jak lew wypuszczony z klatki,
Idzie szczęśliw Izrael, wiodąc z sobą dziatki
I pogania przed sobą ręką mniej lękliwą
I owieczkę powolną i kózkę pierzchliwą.
Bóg z nim idzie, z nim trzyma: kogóż się ulęknie?
Gdy się ozwie, skała się, jak bąbel rozpęknie,
Cała ziemia, jak dziecko, gdy zagrzmi struchleje
I w posadach się swoich, wstrząśniona zachwieje.
Powie słowo, a woda i śnieg się zapali;
Góra, co szczyt w obłokach kryje, w dół się zwali;
Lecz Faraon nie długo wypuścił z pamięci
I płacz ludzi, stękania, i ryk, bek bydlęcy;
Bo kiedy się dowiedział od swych domowników,
Że Izrael na czele swoich Przewodników
Już z Egiptu ustąpił z tem co jego było,
Pragnienie w nim zwrotu go w niewolę odżyło.
Śpiesznie zatem lud cały i wozy gromadzi
I za zbiegiem puszczonym sam pogoń prowadzi.
Już się zbliżył do niego, już trwogę w nim budzi;
Lecz niedługo zapały jego Bóg ostudzi.
Oto! Anioł, co w drodze gonionym przodował,
Przeszedł na tył, gdy Mojżesz obozu pilnował,
Za nim i słup, i obłok na tył się przenosi
I osłania lud, co go pogoń wrogów wroszy;
Jemu świeci, od strony wrogów się ociemnia,—
Czem im pogoń ofiary swojej udaremnia.—
Całą noc się nie widzą obadwa obozy,—
Jeden niema, gdzie uciec; drugi się nań sroży.
Bo Izrael górami i morzem zamkniony,
A wróg jego na tyle miał obszar przestronny—
Mógł napadać, cofać się bez żadnej przeszkody,
Brać w niewolę, lub wpędzać lękliwych do wody.
Lecz Bóg wiatry przywołał, nawykłe go słuchać,
I kazał im z morskiego dna wody wydmuchać.

Zjawiły się też zaraz i sucho się stało,
Gdzie na głębie i spojrzeć oko się lękało.
Faraona z obozem napaść się odwleka;
Bo napróżno ciemności rozejścia się czeka.
Obłok jak stał, tak stoi i widzieć przeszkadza,
Jak ściganym przez niego moc Boża zaradza.
Idą jedno za drugiem w morze pokolenia,
A gęste je obłoku zasłaniają cienia;
Idą rodzin ojcowie, przy boku ich matki,
Unoszące przy piersiach czułych ssące dziatki.
Po dnie morskiem młodzieniec i dziewica pląsa,
Niedba, czy się Faraon troszczy, czy się dąsa;
Rybkę, co jej niezdołał wiatr na ląd wyrzucić,
Gonią, łapią i duszą, i wraz chcą ocucić,—
Bawiąc dziatki i babki podróżą strudzone,
Uśmiechami uprzejmie nawzajem darzone.
Coraz bardziej od ludu w łożysku się roi,
Kroczącego wśród gór z wód, jak wśród ścian pokoi,
Które z dwóch stron się wznoszą i stoją, jak mury,
Zapomniawszy swej płynnej, rozlewnej natury.
Zamiast wody, ludu się, przez środek głęboki,
Toczy obóz, kierując ku brzegowi kroki.
Bo im pilno, już świta; a gdy dzień nastanie,
Zapalczywsze nastąpi po przerwie ściganie.
I nastało niedługo, słychać turkot wozów,
Kwiki koni, i rżenia i wrzawę z obozów;
Już i widać we zbrojach jeźdzców i z dzidami,
I ćmę pieszych- dążącą śpiesznemi krokami;
Zda się, iż się tak licznie na to wyprawili,
Aby pod moc Egiptu cały świat podbili.
W Izraelu szerzy się wśród pokoleń trwoga,
Choć tak wielka opieka osłania go Boga:
Jużby teraz w Egipcie wolał pozostawać,
Niż swobody, w pośród trwóg tak płonnych, doznawać;
Bo niezdolneż toż ramię jeszcze go obronić,

Co dotychczas nie dało ich wrogom go zgonić?
Lecz Pan ludzką krewkością niechciał się odrażać,
Zamiast gniewu, wolał łask nieufnym przymnażać,
Wiedząc, że się niezrówna człowiek swą ufnością
Z udzielaną obficie Jego łask hojnością;
Bo toż samo, co zgubą grozić im się zdało,
Ocalenia ich środkiem prędszego się stało,
I jeszcze raz przy wyjściu z morza na ląd stały
Ręce co się zejść wodom ze sobą nie dały,
Pokazały strwożonym, że Pan umie radzić
O tych, których łaskawie raczy Sam prowadzić.
I ich wrogów zuchwalstwu to się zgubą stało,
Co im sobą sposobność do ścigania dało.
Bo za Izraelem się na pościg udali
W przestrzeń, którą bez wody z podziwem zastali:
Pieszy, jazda na koniach, i wozy bojowe,
Wchodzą w morza łożysko do przejścia gotowe,
Mało ważąc, że ręka, co to uczyniła,
Na taką się dogodność nie dla nich siliła,
Co powinno ich wzruszyć, to uzuchwalało,—
Jakby co raz zdziałane, zepsuć się nie dało,—
Jakby woda, co stała, jak mur, niewzruszona,
Nie mogła być tąż mocą w swe łono wepchniona
I potopić zuchwałych, co lekceważyli
Tyle przestróg surowych, których doświadczyli.
Gdy ostatni Izrael na ląd się dobywa,
Faraon lud swój z tyłu do pośpiechu wzywa
I sam wjeżdża w bezwodne, obok wód łożysko,
Co się zmieni wnet w trupów egiptskich zwalisko.
A oto! już i z wozów i z koni spadają!
Inni: „Śmierć! śmierć! uchodźmy!“ „uchodźmy!“ wołają;
„Co za ręka zabija?“ Nikt nie odgaduje;
Ale każdy strach, trwogę w całym sobie czuje.
Ci się naprzód rzucają, ci w tył odwracają

I, mięszając, wzajemnie, niechcąc, obalają.
Wody stoją, jak stały; a już swe gromada
Na przestrzeni obszernej martwe członki składa,
Nikt nie stoi, na zmianę na lepsze nie czeka;
Nikt sam niewie, gdzie? przed kim strwożony ucieka;
Ale wody, jakby się ze sobą zmówiły,
Wzajemnie się ku sobie gwałtownie rzuciły
I wóz o wóz, i głowę trącają o głowę,
Faraona o jego sługi pałacowe,
Konia o wóz i trupy świeżo poduszone—
O poprzednio w bezwodną przestrzeń obalone.
Szczęk tarcz z ludzkim mięsza się rozpaczliwym krzy-
[kiem,
Z wyciem wichrów burzliwych i z oślęcym rykiem.
Płyną trupy i dzidy, wozy potłuczone,
Bałwanami z przepaści na wierzch wyrzucone;
A choć przez nie miotane ku brzegom dopłyną,
To napowrot wracają i w nurtach ich giną.
I gdy morze ucichło, burzyć się przestało,
Oko śladu po wszystkiem próżnoby szukało.
Nikt nie został, ktoby wieść poniósł do pałacu,
Przed którym już niesłychać Izraela płaczu;
Bo Izrael na lądzie śpiewa pieśń dziękczynną,
Widząc za łez swych karę na wiek wieków słynną;
Chwali czynów wielmożność i moc Boga swego
I, kto w walkę z Nim wchodzi, straszną dla każdego.
Do ostatka ostrzegał zwlekał miłosierny,
By miał czas się namyślić zuchwalec z nim spierny,
Dawał poznać, że może, lecz nie chce zatracić,
I że umie niekarność srogą karą spłacić.
Niepomogło; zatracił, niejako zmuszony
Do tak swego imienia niemiłej obrony.
Izraelu, wspominaj, rozważaj te sprawy!
To Wszechmocny je czynił, wieczny, Bóg łaskawy,

Sprawiedliwy i święty, mądry i niezmienny,—
Taki, jak był, niż nastał świt i zmrok codzienny.
I taki jest, jakim był i jeszcze zostanie,
Choć i świtu, i zmroku na ślad nie zostanie,
Taki, jak był gdy walczył z miłości za ciebie;
Boby nie chciał, ani mógł zmieniać w czemsiś Siebie.
Dobrze Mu być tem, czem jest; nic Mu nie brakuje:
Więc i Siebie, i wszystko, co stworzył miłuje,
I choć wszystko, co nie On, wciąż podlega zmianie,
On jednakże Sam Sobą wiecznie Tenż zostanie.
W nienawiści nic niema z wszystkiego, co stwarza,
I z przymiotów, któremi stworzone obdarza:
Różniłby się z Nim każdy, ktoby z kłosa kiści,
Choćby jeden włoseczek w swej miał nienawiści.
W Swej mądrości, co stworzył, to wszystko po-
[stwarzał,
A stworzywszy, za dobre i „bardzo" uważał;
Jakiżby się ośmielił ganić to zuchwalec?
Nie! to nie syn Mu wdzięczny; lecz piekła służalec.
Byli ludzie od zwierząt, gadzin jadowitsi,
Od tysiąców w nieprawość wszelaką obfitsi;
A jednakże żadnego w zwierza nieprzetworzył
Ni cech Swoich z nich nie zdiął, które na nich
[włożył.
Pozostawił w naturze od początku danej,
Chociaż srogo za swoję nieprawość karanej
I gotów był najgorszych zawsze ułaskawić,
Kiedykolwiek który z nich chciałby się poprawić.
Izraelu! tyś widział Egipcyan kary:
A coto ci nakazał Tenże Sam Bóg stary?
Nie ten nowy, co uczy przez swych posłanników
Za natury tej samej nie mieć uczestników
Wszystkie inne narody tak, jak ty, stworzone
I rozumem i wolną wolą obdarzone;

Od psów zdechłych za gorszych wzgardy poczy-
[tywać,
Nienawidzić, na wadze, miarze oszukiwać,
Szkodzić, nawet czyniąc im niekiedy przysługę,
Niewiasty ich zbezecniać i mieć za zasługę.
Wspomnij jak Ten Bóg Stary, mocny twój Obrońca
Twoim wrogom oblicze zaćmił jasne słońca, —
Jak na puszczy mannę ci, przepiórki sprowadzał, —
Wodą słodką ze skały w pragnieniu ochładzał,
Jak narody odpędzał od bram twych zgłodniałych,
Jak twych bronił pól, winnic i siedzib struchlałych,
Jak dziesięciu, jeden z twych, twoich wrogów
[płoszył,
Jak w tysiąc ich strach, trwogę przez dziesięciu
[wnosił.
A ojcowie na to co? Stależ z Nim trzymali?
A komuż-to ofiary po gajach składali?
Komu dziatki przez ogień swoje przewodzili?
Na Jegoż-to cześć pili, skakali, tańczyli?
Komu z synów i córek ofiary czynili
I kiedy je zjadano, jeszcze się cieszyli?
A po górach, po drogach, po liściastych drzewach
Czyje imię głośno się odzywało w śpiewach?
Nie Molohaż, Baala, Astarty, Pytona?
A i sama świątynia byłaż ochroniona,
Do której się niewiasty bezecne schodziły
I płaczami, rozpustą Adonisa czciły?
W samem wejściu stał bałwan naprzeciw ołtarza;
A co przy nim się działo, Prorok nie powtarza:
Nieśmiał bowiem powtórzyć tych obrzydliwości,
Dziejących się w Świętego Świętych poblizkości.
Izrael tak znieważeń świątyni nie skąpił,
Jakby pragnął, by Pan z niej Zbawiciel ustąpił.
Boć nie Assur, nie Moab miał tam skrytą izbę

I w niej bogów po ścianach malowanych ciżbę.
Niezabrakło ni gadzin, zwierząt podobieństwa,
Ani ludzi na schadzki na ich nabożeństwa.
Starszych bowiem siedmdziesiąt wobec nich stawało
I kadzideł dym ku nim z kadzielnic puszczało.
Inni tyłem do skrzyni przymierza stawali,
Kiedy słońcu przy drzwiach jej uczczenia składali:
Między samym przysionkiem i świętym ołtarzem
Ten sam ukłon, gdy je czcił, znieważał ją razem,
Aby wtenczas, kiedy cześć słońce odbierało,
Stwórcy słońca zniewagi wraz nie brakowało.
A choć brakło u Świętych Świętego kadzideł;
Niebrakło ich w przybytku grzesznych malowideł.
Tak ojcowie spłacali twoi, Izraelu!
Bogu, który wybawił ich z nieszczęść tak wielu.
Gdy Pan „Synu! daj serce, wróć do Ojca“ wołał;
Lud ten twardy „Niewrócę,“ odpowiedzieć zdołał.
Niewzruszyły i takich słów najczulszych świadka:
„Nosić będę na ręku; pieścić, jako matka.“
Ucho od nich odwracał, serce odwróciwszy,
Słodką z Ojcem zażyłość haniebnie zbrzydziwszy,
Jak Izrael, żaden lud tak Go nieznieważał,
A jednak go w zwierzęta za to nieprzetwarzał
I gotów był znów Swoją łaską mu przyświecać
I dotrzymać, co raczył łaskawie obiecać.
A ty mówisz: „Co nie my, to tem gardzić trzeba,
Zgłodniałemu wydrzeć kęs, choć ostatni chleba;
We wszystkiem mu zaszkodzić, to zacna robota,
To nagrody wszelakiej godna taka cnota,
Dobrze czynić, wesprzeć go, to grzech kary godny,—
Jeśli czyn ten nie będzie razem jemu szkodny.“
Zowiąc światłość ciemnością, a ciemność światłością,
Co złe dobrem, dobre złem, syty przewrotnością,—
Ostatnią nić zerwałeś z Bogiem cię wiążącą,
Rękęś Jego odepchnął ku Sobie ciągnącą.

Przypomnijno coto ci kiedyś powiedziano,
Gdy po wyjściu z Egiptu prawo ogłaszano:
Jeszcze w świeżej pamięci miałeś krzywdy jego;
Niesłyszałeś jednakże: „Bądź wrogiem dla niego;
Miej go za psa, wzgardzaj nim, miej go w nienawiści,
Egiptczycy, to zdechłe i zgniłe psy wszyscy.“
Niesłyszałeś, nie! tego. Ty chcesz nienawidzić;
A tyś słyszał: „Nie będziesz ty mi nim się brzydzić.“
Przypomniano ci, żeś był u niego przychodniem,
I jego chleb jadałeś, gdyś był w domu głodnym.
A nietylko Egiptczyk ma nie doznać tamy,
Kiedy stanie u proga twej potężnej bramy;
Ale każdy przychodzień z narodu każdego
I masz sprzedać, lub dać mu jeść ze stołu twego.
Nakazano ci litość nawet dla zwierzęcia,
W mleku matki wzbraniając gotować koźlęcia
I na wolność wypuścić na gniazdku spotkaną
Matkę piskląt, lub jajek, o nie wystrachaną,
Za co nawet miałeś być dobrze nagrodzony:
Mieć się dobrze i życia dni czas przedłużony.
Piękne prawo i czułe, uczące litości,
Godne Boga, co wszystko postwarzał z miłości:
Świętość Jego i dobroć zapomnieć nie dały
O tych które od Niego życie otrzymały.
Izraelu! Bóg zwierza nawet ma w miłości
I o jego się życie i radości troszczy;
Ty człowieka na obraz Boży stworzonego
Gotów jesteś udusić w oczach Stwórcy jego,
Wszystkie ludy wytępić, pozbawić swobody
I za to się spodziewać od Niego nagrody.
Czyś-to z takim ty Bogiem wszedł niegdyś w przy-
[mierze?
Czy On rzekł ci: „Kto nie żyd, on mniej wart niż
[zwierze?“

Zmieniłże się i teraz oducza cię tego,
Czego uczył, gdyś słuchał drżący mowy Jego,
I lękał się, byś ducha nie wyzionął z trwogi,
Uczuwając pod sobą chwiejące się nogi?
Czy to Jego prosiła cała wasza rzesza,
By nie mówił Sam do was, tylko przez Mojżesza?
Tenżeto sam, coć głosił rozliczne przekleństwa,
A obiecał zesyłać wraz błogosławieństwa,
Gdyś w pośród gór Garryzym i Hebalu stojał
I przychodzień przy tobie też stać się nie bojał
I wspólnieście z nim „*Amen*“ przy arce wołali,
Gdy przekleństwa na górze Habal ogłaszali
Na łamiących najświętsze Jego przykazania,—
A i krzywda przychodniów była wzmiankowana.
Nie rzeczono: „Miej za nic przychodnia obcego;“
Lecz grożono przekleństwem za krzywdę i jego.
Boto Bóg tak przemawiał, Ten stary, Ten wieczny,
Ten Bóg święty, Ten mądry, Wszechmocny, sta-
[teczny,
Coto: „Ja Pan“ i „Ja się nie zmieniam“ powiedział.
Bo czem tybyś chciał Go mieć już od wieków
[wiedział.
A pięknieżto dla ciebie, tak Mu się wywdzięczać,—
Tak od Jego miłości wszystkich Mu odstręczać?
Bo ktoby chciał istotę tak wstrętnie złośliwą,
Bez powodu, dla siebie wrogą, źle życzliwą
Mieć za Boga i z serca czcić ją i miłować,
I chociażby na chwilę chcieć z taką obcować,
Która na to jednychby bytem obarczała,
Aby drugim udręczeń ofiar dostarczała?
On był dobrym i jest Nim: nigdy się nie zmienia;
A ty zamiast o Jego dbać chwałę imienia,
Głosisz, co On zakazał, jako nakazane,
Jakby mogło, co święte, zostać odwołane.

Wychowańcze tak wielu, tak wspaniałych cudów!
Ty! coś wszystkich przez wieki niósł nadzieje ludów,
Coś z prawd i praw pochodnią wiecznych szedł
[przed niemi,
W pośród grzmotów i tobie, i im głoszonemi!
Stróżu wierny Ksiąg świętych nienaruszalności,
Coś strzegł, by w nich nie brakło *joty* do całości:
Coś policzył osobno każdą z liter onych,
Abyś wiedział, czy nie brak której z policzonych,
A, oddawszy je innym ręka w rękę ludom,
Sam dziś jakbyś zaprzeczał zawartym w nich cudom,
Inneś sobie narzucić dał i niemi rządzisz:
Izraelu! co czynisz? Błądzisz! Błądzisz! Błądzisz!
Innymś światła dostarczył, sam w ciemności chodzisz,
Z prawdą jesteś w rozterce a z błędem się godzisz!
Synu! uczniu Proroków z nieba ci zsyłanych,
Świadku spełnień się zdarzeń ci przepowiadanych!
Wróć do światła! wydobądź ze skrzyń Księgi stare!
Odnów w Boga starego starodawną wiarę!
Daj Mu, by cię przyciągnął do Siebie, jak syna,
Niech na tobie nie ciąży oporności wina.
Mając uszy, niesłyszysz; i oczy niewidzisz:
Żeś jest głuchy i ślepy; tego się niewstydzisz.
Że ci Bóg się nie daje Sobą, jak chcesz rządzić;
Ty, chociaż wiesz, że błądzisz, wolisz jednak błądzić.
Tybyś tylko takiego chciał *obiecanego*,
Byś mógł gnębić narody wszystkie w imię jego;
Wszelką władzę nad niemi ogarnąć w całości,
By je trzymać od siebie w nędznej zależności.
Takiegoś się spodziewał, bo takiego chciałeś;
W Piśmie *Inny* ci widniał, ty *Go* nie widziałeś.
Palcem ci *Go* Prorocy jakby wskazywali;
Tyś niepatrzał, niesłuchał, choć oni wołali.
Jego przyjścia już wyszedł czas przepowiedziany

I, by nie znikł z pamięci, w Księgi zapisany,
Które Bóg ci powierzył, byś je odczytywał
I na Jego się przyjście wciąż przygotowywał:
Ty i Ksiąg tych proroczych unikasz czytania
I lat przez nie wskazanych ilości badania,
Lecz czyś czytał, nieczytał; badał, czy nie badał,
Inne coraz spełnienia czasy przepowiadał;
Co się stało, już stało i już nie powtórzy,
Jak czas przeszły, co wpłynął w wieczność w swej
[podróży.
Ten ci czas był podany na znak przyjścia Jego,
W tym winieneś był pilnie wyglądać na Niego:
W tym, nie w innym; bo tylko ten ci był wskazay,
Przez Tego, co o Sobie rzekł; „Jam Pan nad Pany.
Ja Pan, Ja się nie zmieniam, ni Moje wyroki,
Które głoszą narodom natchnione Proroki.
Stać się musi, co Ja chcę; nic Mi nieprzeszkodzi;
Co wymienia Me słowo, To się z niego rodzi,—
Na tem miejscu, w tym czasie, w tej, nie innej chwili;
Wszakże tego ojcowie twoi doświadczyli."—
Nie maż praw tak mówić o Sobie Ten, który
Chwałę Swoją okazał w pustyni ponurej
I z obłoku przemówił, czyniąc obietnice,
Że przepiórek i manny przyśle im obficie
I że ptastwo wieczorem już będą zjadali,
A po rosie tę drugą porankiem zbierali,—
A co słowo się w słowo bez zwłoki sprawdziło
I zarazem zdumionych cieszyło, dziwiło?
Ileż się przepowiedni takich niesprawdziło?
Czy choć jedno z nich słowo w czas się niespełniło?
W suszy deszczu obfitość, w głodzie taniość chleba,
Z skały woda w pragnieniu, ile jej potrzeba,
Nieprzyjaciół porażek, lub własnych doznanie
Spełniało się tak i w czas, przeznaczony na nie.

Swiadcząć o tem ojcowie, co tego doznali,
Gdy co uchem słyszeli, okiem oglądali.
Po tak licznych dowodach Bożej niezmienności,
Próżno sobie wyznaczasz czas inny w przyszłości.
Czas już minął; wiesz o tem, przyszedł *Obiecany*;
Inny z grzechem już tylko może być czekany.
Jego gwiazda już znikła, co Go zwiastowała,
I nad ziemią promienie twą swe rozrzucała:
Innej próżno wyglądać, tamta swe spełniła,
Już czcicieli do Niego zdala sprowadziła.
Jeruzalem wstrząsło się gdy je zapytano:
„Gdzie jest? gdzie się narodził?" że Go uczcić chciano,
„Gdzie jest? Gdzie jest? my gwiazdę Jego widziliśmy
I za jej przewodnictwem zdala tu przyszliśmy."
A więc „*Gwiazda z Jakoba* już weszła na ziemię;
Innej wszelkie czekanie byłoby daremne;
Obcych do *Niej* ziem Króle—Mędrcy podążały,
Gdy, na *Nią* wyglądając, *Jej* gwiazdę ujrzały.
Ta, do której zdążali, to *Ów Obiecany*;
Ta za którą zdążali; to znak tylko dany,
Że to *Ten* się już zjawił, co rządzi gwiazdami,—
Ten już przyszedł, ażeby mieszkał między nami,
Ten, co Tarsu Królowie, Efy Wielbłądziarze.
I Arabów i Saby nawieźli *Mu* w darze:
Złota, Myrry, Kadzidła, hołdy *Mu* składając,—
Przepowiednie, bez wiedzy swej, o *Nim* spełniając.
Ten już przyszedł, którego Betleem czekało,
Iż przez *Niego* wśród ludów sławnem się stać miało:
I stało się od wszystkich miast Judy nie niższem,
Temsamem już stawszy się Pana Boga bliższem,
Że to w niem się narodzić raczył *Obiecany*
Emmanuel,—Bóg z nami—od Proroków zwany.
Do Niegoto ciągnęły te dary ze Wschodu,—
Do Betleem, co siadło wśród twego Narodu.

Twój On wybrał z wśród innych Narodów tej ziemi,
Ciebie wsławił samego pomiędzy wszystkiemi,
By, gdy wśród was się zjawi, gdzie szukać, wie-
[dzieli
I do Niego z was jawnych przewodników mieli.
Wszak prorocy do Niego wszystkie je wzywali,
Oraz wszystkim zarówno Go obiecywali;
Musiała być i droga wszystkim pokazana
Do z wami im Wspólnego Zbawcy, Władzcy Pana
Nikt też inny, lecz twego Narodu Kapłani,
„Gdzieby się miał narodzić?“ wskazali, pytani:
I z niczyich też ręku Ksiąg nie pożyczali,
W których o tem proroctwo miejscu wyczytali;
A tylko z tych, które twój naród, na swą chwałę,
Przechowywał wśród siebie ze czcią wieki całe.
A zaś nie mów: „Poco Go poganom wydano,
Tak gwałtownie się śmierci Jego domagano?“
Czyto niewiesz co zazdrość może rozjątrzona,—
Sła wą ciągle rosnącą drugich wciąż drażniona?
On cudami obsiewał wszystkie Swe podróże,
On uciszał Swem słowem rozburzone morze,
On opróżniał z niemocnych łoża zalegane,
On przywracał do życia zmarłe żałowane,
Jemu chlebów trocha się w ręku rozmnażała
I tysiące rzesz zbiegłych doń, wraz nakarmiała.
Sami czarci imienia Jego się lękali
I z dręczonych na Jego głos ustępowali,
Na Jego głos woda się w wino przemieniła,
Przez co Jego wszechmożna moc się objawiła,
Którą Judy widocznie rzesze przeczuwały,
Bo do Niego się zewsząd tysiące zbiegały.
Wszystkich ściągał do Siebie; bo wszystkich po-
[cieszał,
Bo do wszystkich z pomocą w nieszczęściu pośpieszał.

Oni tego niemogli, a zrównać Mu chcieli;
Więc zamiast się z Nim złączyć, zabić Go woleli.
A znów nie mów: „Czemu to dał On im się zabić?—
Wszak wszechmocy żadna moc niezdolna osłabić!"—
Bo po śmierci jeszcze znak miał błysnąć wszechmocy,
Który Bóztwo widoczniej Jego wrażał w oczy;
I zabłysnął, kiedy w dniu trzecim, jak rzekł, ożył,
Weń wierzących pocieszył, a bezbożnych ztrwożył.
Lecz i jeszcze znaków tych Bóztwa nie poskąpił;
Bo przy licznie zebranej rzeszy w niebo wstąpił.
Izraelu! zbawienie z Jeruzalem,—z krzyża,—
Z drzewa nam Bóg króluje, z drzewa łaskę zbliża!
Tam Go szukaj,—tam On wzniósł Swe potężne ramię;
Nie w Frankfurcie, nie w Kocku ani w Amszterdamie.
Kto ci powie: „On już jest!" lub „On tam przybędzie!"
Ty mu: „Kto cię w prorockim," rzecz posłał urzędzie?
Gdy cię wysłał Bóg głosić przyjście Swego Syna;
To nam na znak jednego choć wskrześ żydowina.
Już niech w grobie nie leży, aż cztery dni, cuchnąc,
Dość w godzinę przywołać duszę i weń wdmuchnąć,—
Jak to niegdyś się stało pod bokiem Kapłanów,
Oraz w oczach niemałej rzeszy różnych stanów."
Lecz się tego do końca świata niedoczekasz;
Jeszcze za to, żeś czekał, dobrze ponarzekasz.
To zuchwalstwo jest czekać na to, co się stało,—
A jeszcze tak, jak się stać nieomylnie miało.
Nieomylnie? Tak! tak! tak! Co Bóg zapowiada;
Stać się musi. Rzekniesz: „Nie;" Biadać! biada!
[biada!
Lata wyszły do joty, gwiazda się zjawiła
I ze Wschodu na hołdy Królów prowadziła;
W Betleem się narodził, w Betleem witany;
W Jeruzalem wzgardzony i ukrzyżowany;
Tam pogrzebion, zmartwychwstał, Boże Jego Ciało

Zepsucia się, jak Dawid rzekł, niedoczekało;
Wniebowstąpił wśród Widzów poważnych orszaku:
Jakiegoż ty, prócz takich, jeszczebyś chciał znaku?
A po jakim też poznasz na którego czekasz?
Ten, co przyszedł, coć winien, że odeń uciekasz?
Gdyby ten twój w takież były znaki opatrzony,
O! jakieżbyś ty mu bił głębokie pokłony!
Czemu stronisz od *Tego*, którego twe przodki,—
Od praojców cnotliwych zacne nieodrodki,—
Miłowały i czciły i całe tysiące,
Wiodąc z sobą podrostki młodziuchne i ssące,
Nauk Jego po całych dniach wysłuchywały
I najbliżej przy *Nim* być, wręcz się dobijały?
Twój naród miał pierwszeństwo przystępu do *Niego*,
Innym czynił też dobrze na wstawienie twego.
Rybołówcę na Swego wyniół Namiestnika,—
Nie z Egiptu, Persyi, ni Macedończyka,—
Ale Izraelitę z ojca i pradziada;
I dał władzę nad światem, jaką *Sam* posiada.
Z Izraela też ród swój i Ci wywodzili,
Co w tej władzy udziałem zaszczyceni byli.
Wszyscy, czego uczyli, stwierdzali cudami,—
Tem dowodząc, że byli Bożemi Posłami;
Czarci nawet świadectwo im jawnie składali,
Gdy na rozkaz ich z ludzkich ciał ustępowali.
Tak dalece ta moc ich aż się ujawniała,
Że i arcykapłańskich synów pobudzała,
Iż na takież się czyny płocho odważali,—
Jakby władzę i oni na to otrzymali.
„Wyjdź,“ wołali na czarta „wyjdź w imię JEZUSA
Co Go Paweł ogłasza.“ W czarcie to złość wzrusza:
Znam JEZUSA, znam Pawła, a wy co?“ czart woła
I gwałtownie ku obóm, zuchwałego czoła,
Człowiek, w którym przebywał zły duch, wnet się
[rzuca,

Dnsi, rani i bardzo, i aż tak dokucza,
Iż się przed nim ucieczką nadzy ratowali,—
Wstyd straciwszy wśród kary, którą otrzymali.
Całe miasto naówczas wylękłe poznało,
Iż imienia JEZUSA i piekło się bało;
I kto w Niego nie wierzył, a chciał niem się szczycić;
Mógł na hańbę i karę za to tylko liczyć.
I w Żydach i w Poganach to straszne zdarzenie
Wywołało nie samo tylko zadziwienie:
Wszystkie bowiem złe książki z miasta zgromadzili
I bez zwłoki, gromadnie, razem je spalili;—
A pięćdziesiąt tysięcy srebrników ceniono
Niegodziwy ten towar, który tam spalono.
Nie dziecinne postrachy tego dokazały;
Ani wieści, co zdala gdzieś tam nadleciały;
Lecz zdarzenie naoczne, w całem mieście znane
I nieprędko, jak gadka płocha, zapomniane.
Izraelu! czas już! czas i na twe talmudy,
Co cię uczą mieć w wzgardzie wszystkie ziemi ludy,
Tego czynić nikczemnie czartów sprzymierzeńcem,
Coś Go uczcić powinien, zwać swym *Oblubieńcem*;
Przeciw *Niemu* twe dziatki niewinne uzbrajać
I w ich serca nienawiść, wzgardę wcześnie wpajać.
Tyś im Ojcem? Ach! ciebie—jakaż kara czeka!?
Zmieniasz dziecko w potwora, zrodziwszy człowieka,
Syna z Bogiem rozdzielasz, sam z Nim rozdzielony,
Sam w zaraniu twoich dni błędami pojony.
Na talmudach trujących trawione godziny
Rozświeć sobie, badając stare pargaminy.
Tam Prorocy swe głosy lotne uwięzili,
Rządów Bożych pamiątkę w nich ci zostawili;
Co z ust Boga słyszeli, to ci powtarzali,—
Coś sam słuchał swem uchem, to w nich zapisali.
Żaden naród do Boga nie był tak zbliżony,

Jak ty, dziś tak od Niego bardzo oddalony.
Niezatęskniszże za Nim, nie przypomnisz sobie,
Jak przyjemnie, rozkosznie było przy Nim tobie?
Jakeś płakał z radości, gdy mgła z nieba spadła
I w oczach się twych nagle, cudownie rozsiadła,—
Tak jawny ci dając znak Jego obecności,
Do najczulszej cię budząc ku Niemu miłości.
I tyś rzucił dziś Księgi, co ci o tem mówią!
A z Talmudów twe oczy chętnie błędy łowią!
Łudzisz się tem, co one tobie obiecują,
I zbliżenie do Niego twoje powstrzymują.
Synu! Synu! ocknij się, pośpiesz w te ramiona,
Coby rade przytulić cię do Swego łona!
Zechciej przy Niem już wytchnąć czekaniem zmę-
[czony;
Bóg cię czeka, tyle lat na ziemi zjawiony.
On się zjawił, On, Tensam niegdyś *Obiecany*;
Na innego nie czekaj, czekaniem znękany.
Nie pisz Mu praw, jak ci ma jeszcze się przedstawić;
Raczej otwórz swe usta, by Mu błogosławić,
Że cię wzywa, że woła, że cię oczekuje,
Że co ojcom obiecał, spełnić obiecuje:
Dawną mądrość odzyskasz i z cnót piękną sławę
I, jak z ojcem, synowską znów słodką zabawę,—
Nie na lata, tygodnie, nie na dnie liczoną,—
Ale stałą, niezmienną, wieczną, nieskończoną.
Groził, karał cię srogo, w niewolę oddawał;
Obietnicy jednakże dawać nie przestawał,
Że cię znowu łaskawie przygarnia do Siebie,
Że znów synem zwać będzie podawnemu ciebie.
Bałwochwalcze już ludy doń poprzystawały,
Z ołtarzami wraz bogi swe poroztrącały:
Bóg twój dał się im poznać, one Mu hołdują
I ojcowskie głaskanie ręki Jego czują.

I znać na nich, jak niegdyś znać było na tobie,
Że na synów ich Swoich przysposobił Sobie.
A ty niegdyś coś deptał, tłukł te nieme bogi,
Gaje z niemi wycinał, stronił od ich drogi;
Ty, coś czyste, coś wzniosłe miał Boga poznanie
I życieś swe za jego kładł pielęgnowanie:
Tyś dziś odeń zdaleka, ty od niego stronisz!
Ty Mu, by cię do Siebie przyciągnął, się bronisz?
Daj Mu! daj się pociągnąć! Bo każdy wezwany,
Że był głuchym, niesłuchał; będzie ukarany.
Obietnice się spełnią, lecz nie na opornych:
Chce być ojcem; lecz tylko,—tylko dla pokornych.
I nie łudź się! ofiarnych nie myśl tuczyć wołów,
Ani gotuj na chleby złotem lśniących stołów;
Ni baranków pielęgnuj, by ich wdzięczna wonność
Dawną Jego ku tobie wybłagała skłonność.
Choćby były przy węglach różanych pieczone
I tysiące przed oczy na dar Mu znoszone;
Na nic się te wysiłki wszystkie ci przydadzą:
Do ofiar tych mgły z nieba wonnej nie sprowadzą:
Co Mu chcesz dać, to już Go do ciebie nie sprasza;
Bo w tem wszystkiem nie Jego, lecz jest wola [wasza.
Ty na jednem chcesz miejscu, aby był chwalony,
Jeden tylko dlań ołtarz był tam wystawiony
I zarzucić Go ofiar mnóztwem po dawnemu,
Sam też tylko w swej pysze zbliżonym ku Niemu;
Ale Jego jest ziemia, Jego jest świat cały,
Jego naród jest wszelki na niej zamieszkały,—
Wszelki stworzył, od wszystkich chce, aby był [znanym
I od wszystkich, jak ojciec, czczonym, miłowanym,
I wszędzie mu ofiara od wszystkich składana,—
Jedna tylko od Niego Samego wskazana.

Twoi przecie Prorocy to nam oznajmili,
Twoim ojcom swe Pisma o tem zostawili,
A tobie w tem odmiany chciałoby się może,
Zamiast sercem potulnem poddać się w pokorze.
Nie! nie! To tak nie będzie. Przestań! przestań
[błądzić!
Daj się Bogu, nie ty Nim chciej, niebaczny! rządzić.
Nie będzie On na upór twój wcale uważał:
Jest, był Ojcem i będzie wszystkich co postwarzał!
To nie Bóg ten, co cię tak burzy i buntuje:
Bóg co stwarza, nie gardzi niczem, lecz miłuje.

Samemu Bogu cześć i chwała!

Napisał: Brat Mniejszy, **Ks. Xawery Sforski,**
Lektor Św. Teologii.